

Spotkanie z młodością mojej teściowej

Tytuł niniejszych wspomnień jest nieco przewrotny, ale trafnie oddaje moje doznania wyniesione z jakże sympatycznej wycieczki na Kresy. Wycieczki zorganizowanej przez Stowarzyszenie Rodzin Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich.

Ciemna noc, tuż przed rankiem. Jest poniedziałek, 21 czerwca. Z placu Bankowego w Warszawie ruszamy wygodnym autokarem na Kresy. W autobusie jest nas nieco ponad 40 osób, w większości w przysłowiowej „jesieni życia”. Mimo różnych zapatrywań i poglądów na wiele spraw – atmosfera „na pokładzie” była przez cały czas trwania wycieczki miła, pełna wzajemnej życzliwości, w czym nie miały udziału mają jadący z nami nasz prezes Antoni Tomczyk. Mikrofon przewodnika służył więc nie tylko do wygłaszania modlitw i litanii, ale też i dowcipów (niektórych lekko pieprzonych ale nie przekraczających dobrego smaku). Tak więc – jedziemy. Ojczyznę żegnamy za Chełmem próbując na ostatniej stacji benzynowej po polskiej stronie – kupić gazety, kupić kanapki i wysuszać się. Nic z tego. Średnio uprzejmy personel informuje nas, że toalety są pozamykane, a gazet i kanapek nie ma. – Boże święty – pomyślałem sobie – jeśli tak jest u nas, to jak będzie TAM? Okazuje się, że taka stacja benzynowa (o ile pamiętam Rafinerii Gdańskiej) – była wyjątkiem. A na Ukrainie wcale nie było źle. Nasze wyobrażenia (tych którzy tam nie byli) są gorsze od napotkanej rzeczywistości.

Np. w Równem, Łucku czy Kołomyi – wielokrotnie byliśmy ja i moja żona przepuszczani przez jezdnię przez tamtejszych kierowców i to wcale nie na pasach. W Warszawie – rzecz nie do pomyślenia. Zwiedzamy Łuck i Równe. Wrażenia mieszane. Sowietyzacja architektury – przerażająca. Źle utrzymane blokowiska mieszkalne sprawiają ponure wrażenie. Szukamy śladów polskości. Jest ich wszędzie pełno. Zrobiłem zdjęcie przykrywie – włazowi do kanałów, przykrywie z polskim napisem „Hydrant, Łuck”. Przewaliła się historia, zmieniły granice, a ów napis jak był tak jest. W tym miejscu nawiedza mnie myśl, że Niemiec szukający śladów niemieczyny we

Wrocławiu, Koszalinie czy Zielonej Górze też pewnie odczuwać będzie takie samo wzruszenie jak ja. I to jest mój pierwszy wniosek z tej podróży. Nasze uczucia, sentymenty wręcz miłość do Kresów są lustrzanym odbiciem tego co Niemcy odczuwają podróżując jako turyści po Darłowie, Międzyzdrojach, nie mówiąc już o Szczecinie czy Wrocławiu. To trochę bolesna konstatacja. Ale tak to już jest, nie mamy prawa odmawiać innym sentymentu do miejsc ojczystych, jeśli sami kochamy strony w których się urodziliśmy. My – lub nasi bliscy.

Dojeżdżamy do Krzemieńca, już trochę zmęczeni. Miły hotel, choć rażą w ubikacjach tabliczki zakazujące spuszczenia z wodą zużytego papieru toaletowego. Podobno rury kanalizacyjne są tak wąskie, że natychmiast by się zatkały. Ale nasi doświadczeni dwaj kierowcy mówią, że w Grecji – jakby nie było państwie członku Unii Europejskiej od dawna jest sytuacja identyczna.

Na drugi dzień, wraz z panią Wandą Borową „urywamy” się z naszej wycieczki. Pani Wanda, osoba dzielna i przedsiębiorcza załatwiła w recepcji taksówkę z kierowcą, który zgodził się wieźć nas wyznaczonym przez nas szlakiem przez cały dzień. Kierowca jest polskiego pochodzenia, nazywa się Władysław Kupiecki, waży około 130 kilo i jest – jak i jego samochód (Audi 100) gwarancją, że nie spotka, nas nic złego.

Jedziemy na północ, w kierunku Sarn. Pani Wanda urodziła się w osadzie wojskowej Józefopol koło Katerynowki, gm. Niemowicze, około 30 km na południe od Sarn. Trafiamy tam szybko i bezbłędnie. Tylko jak znaleźć miejsce urodzenia pani Wandy? Na ławeczce siedzi dwóch lekko podchmielonych dżentelmenów, którzy obwieszczaają, że są gotowi nam pomóc. Po niecałej godzinie znajdujemy miejsce, gdzie kiedyś był dom, w którym mieszkali rodzice pani Wandy i w którym się urodziła. Domu nie ma, ale jest wyraźne obramowane ceglami miejsce, gdzie stał. Pani Wanda jest bardzo wzruszona, my też. Robimy zdjęcia i ruszamy w dalszą drogę na południe.

Dojeżdżamy do Zdołbunowa – który dla rodziców mojej teściowej był tym, czym dla mnie Paryż dzisiaj. To było powiatowe miasto, miasto, gdzie dziadek mej żony Jan Głazowski – żołnierz Józefa Piłsudskiego (a ojciec mojej teściowej) otrzymał w 1925 roku w

Starostwie kilkunastohektarową działkę w Zastawiu, koło Dermania w gminie Mizocz, kilka kilometrów od granicy sowieckiej. Zdołbuńców robi niedobre wrażenie. Mało jest domów przedwojennych, wszędzie sowieckie bloki. Ale znajdujemy budynek w którym mieści się siedziba władz miejskich. Tu chyba było Starostwo przed wojną. Jedziemy dalej – do Mizocza. Mieścina malutka, biedna. Przedwojenny kościół do którego chodziła moja teściowa – zamieniony w cerkiew. I już nieco dalej – Dermań. Duża osada ukraińska z ogromnym klasztorem (przed wojną męskim – dziś żeńskim), który trochę zwiedzamy. Jesteśmy nawet proszeni do środka, ale czasu mamy niewiele, więc żegnamy się z miłymi zakonnice. Tu obok mieści się szkoła. Ogromna, na 600 uczniów. Szkoła ma ponad 400 lat, jest lekko zapuszczona. W środku tablica z informacją o historii szkoły. Ani słowa o Polsce. I znowu refleksja: przecież my latami całymi tłumaczyliśmy światu o piastowskich Ziemiach Zachodnich ani słowem nie wspominając że niemal 600 lat ziemie te zamieszkiwane były przez Niemców, którzy stworzyli tam miasta, szkoły, domy, ulice. Dopiero teraz, niedawno, w Szczecinie, nie bez oporów niektórych radnych, Rada Miasta nadała dwóm wielkim placom nazwy upamiętniające wybitnych niemieckich burmistrzów Szczecina II połowy XIX wieku.

I tu – z dumą myślę o przedwojennych rajcach naszej stolicy – Warszawy – którzy postanowili nazwać jeden z placów imieniem Sokratesa Starynkiewicza, carskiego – jakby nie było – gubernatora miasta w XIX wieku. Starynkiewicz był jednym z tych niewielu Rosjan, który poświęcił się dla miasta Warszawy całkowicie, samemu będąc znanym z tego, że jest zupełnie nieprzekupny. Tak więc w Dermaniu, w szkole, a i w innych miejscach dla polskiej historii ważnych – widać w informacji turystycznej świadome pomijanie Polski i polskości. Jestem pewien, że za jakiś czas naszym ukraińskim sąsiadom to minie w miarę rozwoju kultury politycznej tego kraju.

Do tej szkoły chodziła z Zasławia codziennie moja teściowa Zofia Borowska z d. Głazowska – wtedy kilku- i kilkunastoletnia dziewczyna. Robimy dużo zdjęć.

No i zbliżamy się do domów chłopskich w Dermaniu. Szukamy ludzi starych – takich którzy by coś mogli opowiedzieć o polskich osadnikach. Sześćdziesięciolatków – odrzucam. Za młodzi. A tu dopada nas miejscowy grabarz, mocno zawiany. Próbuje nam pomóc. Wie, że Polacy mieszkali nieco dalej w Zasławiu – o tam na wzgórku, za wsią. A że jest błoto, to proponuje że zaprzęgnie konia. Rzeczywiście zaprzęgnął, ale furmanka już była „obsiadła” przez miejscowe dzieci i nasz kierowca – pan Władysław oświadczył że będzie swoim AUDI próbował sforsować spore błota. Tymczasem podszedł do nas Borys Michaił, 70-latek sympatyczny i godny. Zapytał w czym problem, po czym oświadczył, że pójdzie poinformować zięcia, że wybiera się z nami na poszukiwanie polskich przedwojennych domostw. Nie było go długo – ale gdy się pojawił, to żeśmy go ledwie poznali: nowa czapka, nowa kurtka, nowe ładne gumki. Był dostojny wręcz. No i pojechaliśmy. Chodziliśmy od ruiny do ruiny, często przez chaszczę i pokrzywy wielkości na 2 metry. Chyba znaleźliśmy. Domek ledwo stał, nie zamieszkały, zamknięty, potwornie zapuszczony. Dojście prawie niemożliwe. Porobiliśmy zdjęcia, sąsiednim domkom i ruinom także. A potem sfilmowaliśmy okolice. Piękne pagórki, duży staw, lasy na horyzoncie. Ładnie tu. Jak ci osadnicy tu trafili? Jakie były pierwsze miesiące ich życia tutaj? Stworzyli wszystko z NICZEGO. A stworzyli piękne, wydajne gospodarstwa rolne, pełne ogródków, sadów, z oborami i stajniami. Dziadek mojej żony wsiadał tu na konia, każdego 11 listopada, by brać udział w spotkaniach i defiladzie w Zdołbunowie.

A tuż po 17 września 1939 roku ostrzeżony przez znajomych Ukraińców zostawił wszystko i z żoną i dziećmi uciekł przez zieloną granicę do Generalnego Gubernatorstwa, w kieleckie, do krewnych. W ten sposób uniknął Kazachstanu czy też Syberii. A czemu Ukraińcy go ostrzegli? Może dlatego, że jego żona, matka mojej teściowej była położną i choć niewykwalifikowaną zawodowo, robiła to bardzo dobrze. Przyjęła na ten świat wiele dzieci, również ukraińskich.

A teraz po niemal 90. latach – ruiny tu i chaszczę. Smutno nam. Borysowi Michaiłowi „wtykam” sto hrywien. Zasłużył sobie. Wracamy do samochodu, czas na odjazd. Wtem Borys Michaił podchodzi i wciska mi do kieszeni owe 100 hrywien. Powiedział tylko

„nie nada” – i poszedł sobie. Dzięki Ci, Borysie Michaile. Nie chcieliśmy Cię obrażać, a tylko wynagrodzić Ci Twój trud, I tak go zapamiętaliśmy: sympatycznego, nieśmiałego ukraińskiego chłopca, pełnego godności.

A potem był powrót do Krzemieńca, szybkie zwiedzanie Poczajowa i dalszy ciąg wycieczki: Wiśniowie, Zbaraż, Kamieniec Podolski, Chocim, Kołomyja, Jaremce, Lwów. Ale to już temat na inny artykuł. To była podróż sentymentalna. I zawsze pozostanie w naszej pamięci.